

Stanisław Mikke

Małaczewski

Palestra 51/7-8(583-584), 157-160

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Małaczewski

Pod koniec czerwca, podczas uroczystości na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego szacowny profesor przedstawiając mnie znanemu politykowi czasu niepodległości dodał: „o martyrologii pisze z pewną emfazą, ale to można mu wybaczyć”. Była w tej prezentacji życzliwa nuta, a co ważniejsze, dowód na to, że teksty dotyczące tej tematyki nie trafiają w próżnię.

Pisanie o sprawach tragicznych, o ludzkich dramatach, zwłaszcza w narodowej skali nie jest, jak wiadomo, rzeczą prostą. Tylko bardzo nieliczni sprostali. Wyczuwali, w którym miejscu zgasić patos i uciec do „beznamiętnej” relacji, która – co sprawdzone – działa najmocniej.

Mistrzowskie posługiwanie się środkami wyrazu przypisuje się, nie bez racji, Zofii Nałkowskiej. Sam, ilekroć przychodzi mi pisać na te trudne tematy, sięgam po raz kolejny do „Medalionów”, wsłuchuję się w tę prostą poetykę, której nie zniszczył, jak się wydaje, postęp cywilizacyjny. Ale, przyznaję, nie odżegnuję się od „Ech leśnych”, przejmującego opowiadania z sądowym wątkiem, które podsunął mi ojciec, gdy byłem jeszcze chłopcem. Trudno jednak nie mieć świadomości, że dla dzisiejszych, zglobalizowanych pokoleń, oczywiście z pewnymi wyjątkami, jego autor brzmi mocno archaicznie. Do tego stopnia, że studenci polonistyki stołecznego Uniwersytetu i zapewne innych również, Żeromskiego nie czytają. Omijają też całkiem współczesnych pisarzy, na przykład Herlinga-Grudzińskiego. Wolą – nad czym boleją (zdumiewające, że bezradnie) profesorowie stołecznego Uniwersytetu – Sapkowskiego, Grocholę i Gretkowską, przy lekturze których zęby raczej bolą niż serce.

Dlatego też dla dzisiejszych absolwentów wydziałów polonistyki nawet presti-

zowych naszych uczelni nazwisko Eugeniusza Małaczewskiego i jego utwory pozostaną przypuszczalnie nieznane.

Nie wspominałbym o nim być może w „Palestrze”, gdyby nie pewien szczegół biograficzny. Tak jak całkowicie zapoznany na pół wieku, piszący po rosyjsku Polak, Zygmunt Krzyżanowski (o którym niedawno tu pisałem), był przez kilka lat pomocnikiem adwokata przysięgłego i karierę tę porzucił w 1918 roku, tak i Małaczewski „przymierzał się” do zawodu, będąc bardzo młodym człowiekiem rozpoczął pracę jako praktykant adwokacki w kancelarii adwokata Mirosława Sawickiego w Humaniu. Dużo zawdzięczał też innemu adwokatowi, Michałowi Czajkowskiemu, który wprowadził go w filozofię Józefa Marii Hoene-Wrońskiego i koncepcje mesjanistyczne.

Życiowe plany przerwała wojna. W 1915 roku wstąpił do armii rosyjskiej. Z chwilą wybuchu rewolucji Eugeniusz Małaczewski zaczął organizować wojsko polskie. Służył w I i III Korpusie Polskim. Po rozwiązaniu tego ostatniego przez Niemców, przedzierał się przez kraj ogarnięty czerwonym terrorem na północ Rosji, gdzie stacjonowały wojska koalicyjne m.in. Amerykanów, Anglików i Francuzów. Jeden z jego towarzyszy broni w swoich wspomnieniach cytował to, co Małaczewski mówił o swoich przeżyciach: „Wpierw odsiedziało się we wszystkich wojennych więzieniach, jakie są po drodze od Jarosławia do Archangielska. Było się pod sądem wojennym, sądem polowym (...) Poznało się całą, bardzo sprężystą administrację policyjną sowieków. Było się w końcu skazanym na rozstrzelanie”.

Udało mu się jednak zbiec i dotrzeć do wojsk koalicji. Tam współtworzył polski batalion, który walczył z bolszewikami. Na początku 1919 roku przez Murmańsk i Anglię przyjechał do Francji i wstąpił do Armii Błękitnej generała Józefa Hallera. W stopniu porucznika brał udział w wojnie 1920 roku. Pisał.

Najgłośniejszy, bardzo znany przed wojną tom jego opowiadań to „Koń na wzgórzu”, fabularyzowane wspomnienia wojenne wznawiane dopiero po roku 1989, m.in. przez LTW.

Groza, bestialstwo, wandalizm – to wszystko znane z wielu relacji o zmaganiach w latach 1919–1920. Tych spisanych i tych przekazywanych rodzinie. Z trzech moich bliskich krewnych uczestniczących w tamtej wojnie tylko z jednym miałem możliwość rozmawiać. Pierwszy, mój imiennik zginął 30 maja 1920 r. w Kożankach pod Białą Cerkwią. Starszego brata ojca zamęczono w czterdziestym czwartym; w sowieckiej logice nie mieściło się, aby żołnierz dwudziestego roku mógł ująć z ich rąk żywym. Drugi brat, prowadzony na zastrzelenie w roku 1945 uniknął śmierci, gdyż przypadkowo przechodzący oficer sowiecki ulitował się nad... psem, kundlem jakimś mizernym, który – jak gdyby rozumiejąc to, co się dzieje – skomląc biegł ze spuszczoną głową za swym panem. A ten przeżył również dlatego, że nie zdążono dociec, że walczył przeciwko bolszewikom. Zgłosił się jako ochotnik, mając 17 lat. Odpowiedział na apel, co podkreślał, premiera Witosa. Tak o najmłodszych żołnierzach pisał Eugeniusz Małaczewski:

Skauci, gimnazjaliści, dla których Polska nie utraciła jeszcze istotnego ducha swej

wielkości, zatraconego przez ludzi dorosłych, chcących Polski partyjnej lub stanowej... (...) szły dzieci ludzi szanownych, starych i niestarych obywateli kraju, którzy umieli narzekać tylko i paktować, a najważniejsze powołanie Narodu nazywali romantyzmem i szaleństwem.

Jadącym na front ochotnikom – opowiadał brat ojca – ludzie na stacjach kolejowych przynosili mleko, sery, pieczony drób. Żegnali ich jak bohaterów. Ale gdy zwycięskie przecież wojsko wracało ciężką zimą przymierając, przez wiele dni podróży, z głodu, nikt już nie pojawiał się. Śmiertelne niebezpieczeństwo minęło. Gorzka prawda o nas samych.

Z wielu jego opowieści zwłaszcza jedna zapadła mi w pamięć.

Linia frontu zatrzymała się nad jakąś rzeką. Tuż przy jej brzegu rosła dorodna śliwa. Gałęzie, jak na złość głodnych, okopanych żołnierzy, zwisały ciężkimi, dojrzałymi owocami nad wodą. Ktoś próbował je zrywać, zginął od bolszewickiej kuli. Zbudowali więc prowizoryczną tratwę, nocą spuścili na wodę, kilku wspięło się na drzewo, trzęśli gałęziami. Znowu dwóch zabito.

Nagle sowieci ruszyli do ataku. Odwrót w nadzwyczajnym pośpiechu. Nie zdążano zabrać ciężiej rannych. *Fortuna wojenna toczy się kołem zmiennym* – jak pisał Małaczewski. Wkrótce wrócili na to samo miejsce. Ranni zamordowani co do jednego. A wielka śliwa ścięta.

„Wtedy zrozumiałem i zapamiętałem na całe życie – opowiadał mój krewny – czym jest komunizm. Chcesz zjeść owoce, zetnij drzewo”.

Złamane drzewo pozostało dla niego symbolem, tak jak dla Eugeniusza Małaczewskiego stał się nim tytułowy, okulały, więc nieprzydatny koń, ale dla użytecznej skóry obdarty z niej żywcem przez sowieckich żołnierzy.

Język, jakim opowiada pisarz różnorodne historie, bywa mocny, żołnierski, chwilami bardzo ostry, innym zaś razem poetycki. To literatura najwyższej próby. Niezależnie od tego, czy rzecz dotyczy bijatyki między polskimi, angielskimi i francuskimi wojakami w portowej tawernie, gdzieś pod kołem podbiegunowym, czy oswojenia białej niedźwiedzicy (fakt historyczny, jeśli tak można powiedzieć, udokumentowany fotografiami), czy też wydarzeń na Ukrainie, gdy sceny bestialstwa przeplatają się z groteską. Postaci ciemne i jasne narysowane wiarygodnie, zapadają w pamięć. Chociażby jak dwóch braci żyjących Polską, zgładzonych z wyrafinowanym okrucieństwem, o co troskliwie zadbał ludowy komisarz. Jak rosyjskiego chłopca, dla którego świat był *jedną wielką, nowiućką zabawką i tej zabawki miał pełno w szarych oczach patrzących w ludzkie źrenice prosto i z zaufaniem serdecznym*. Podróżował, jak inni, na dachu wagonu. Został posądzony o kradzież pieniędzy przez starszą kobietę. Współpasażerowie postanowili zepchnąć go pod koła. Ale wtedy *olbrzymi soldat z twarzą czerwoną jak surowe mięso* powstrzymał rozjuszonych, budząc nadzieję dziecka na ocalenie. Ale on zdecydował:

Jemu trzeba łeb ukręcić. Puście no mnie, towarzysze. Dzieło zrobię czysto. Mnie nie pierwszyna. I po chwili: rozległ się mokry chrzęst kości i ścięgien, łamanych i rozrywanych w człowieku żywym.

A gdy po chwili kobieta odnalazła pieniądze i zaczęła lamentować, że zgubiła duszę niewinną, żołdat zawołał:

Trzeba i jej łeb ukreć... inaczej nie byłoby na świecie żadnej sprawiedliwości – prawda, towarzysze. I zamordował ją w ten sam sposób co chłopca...

(...) Oto jest grymas szatana na obliczu „wyzwolonej” sprawiedliwości, obliczu z surowego mięsa ludzkiego – mówi bohater Małaczewskiego – Temida proletariacka uśmiechem swym przeszła mnie wówczas do szpiku kości. Straszliwe ponad wszelki wyraz jest Państwo Ponurej Anegdoty idące na Polskę (...)

W tymże samym opowiadaniu pisanim w sierpniu 1920 roku (był wtedy adiutantem generała Hallera) pojawiają się sylwetki cywilów ofiarnych patriotów, ktoś z *ministerium spraw Polsce niepotrzebnych*, których pisarz, skazany w PRL-u na zapomnienie, chłoszcze niemiłosiernie:

Wy wszyscy chowacie wasze starannie uczesane głowy i półgłówki w przesądzie o europejskości naszej Ojczyzny, niby struś, który kryje łeb w piasek na widok niebezpieczeństwa. Pieczołowicie wysiadujecie swoje strusie jaja interesów i ambicji (...)

Cóż więc nareszcie wzruszyć was może, powiedzcie na Boga. Panowie z defektem dla Polski w sercach. Ludzie nie chcący widzieć nic poza własnym nosem. Wsadźcie sobie na nos po sześć par binokli, ale ruszcie się w końcu (...)

Gdyż inaczej „wyzwolona” sprawiedliwość łby wam poukręca na waszych posterunkach obywatelskich i kraj ten stanie się wielką ponurą anegdotą, a wy w niej będziecie marnym zaiste dowcipem!...

Panowie z defektem dla Polski w sercach. Nieprzemijająca aktualność.

Eugeniusz Małaczewski nie ma dziś szans, to jasne, na jakiś wielki powrót, choć ma swoje dobre literackie miejsce, również dzięki poezji. Dlatego jego nazwisko i utwory powinny znać nie tylko historycy.

Kim byłby, jak by zapisał się jeszcze w polskiej literaturze, gdyby żył dłużej? Zmarł w 1922 roku w Zakopanem w wieku 25 lat. Gruźlica pokonała organizm wyniszczony sowieckimi więzieniami i tułaczką wojenną.

Proza Małaczewskiego to oczywiście mało wakacyjna, ale w końcu sierpniowa lektura. A przypomniałem tego niedoszłego adwokata, żołnierza odznaczonego Krzyżem *Virtuti Militari* i wybitnego artystę także dlatego, by natknąwszy się kiedyś na jego mogiłę na nowym zakopiańskim cmentarzu* i wiedząc kim był, zatrzymać się tam na moment.

Czy wkradając się tu „emfazę” można wybaczyć?

* Eugeniusz Małaczewski został pochowany na nowym cmentarzu w Zakopanem przy ulicy Nowotarskiej w kwaterze 24. Na nagrobku znajduje się napis: *Eugeniusz Korwin Małaczewski. Poeta i żołnierz. Murmańczyk. Autor powieści „Kołn na wzgórzu” skutkiem trudów wojennych zgasł w wieku młodzieńczym 19 kwietnia 1922 r. Niech mu ziemia polska lekka będzie.*